

ZWIĄZKI UCZUCIOWE



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

ZWIĄZKI UCZUCIOWE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-64-4

Copyright © Ireneusz Iredyński

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1970

Korekta: Monika Siemieniacka

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

SPIS RZECZY

[ARMELLE](#)

[FASCYNACJA](#)

[KONIEC I POCZĄTEK](#)

ARMELLE

I

Lato było wtedy deszczowe, znajomi, którzy wyjechali nad morze lub jeziora, przysyłali kartki w rodzaju tej zachowanej nie wiadomo w jaki sposób do dzisiaj „leje, leje, leje, a poza tym pada”, w radio słyszało się ciągle pocieszenia, że już niedługo tej pluchy i zaciągniętych dni, że można rozkosznie spędzać słotne urlopy, na dowód czego cytowano wiersze o brodzeniu z ukochaną po wodzie. Lato było deszczowe, ale ja nie narzekałem. Miałem dwadzieścia jeden lat, ukończoną przed miesiącem socjologię i wolne, trzypokojowe mieszkanie. Stary wyjechał w góry do Domu Techniki kończyć jakąś skomplikowaną rozprawę dla angielskiego pisma naukowego, wziął ze sobą asystentkę, pannę Moll, która miała zdrowego hyzia na punkcie skrawania metali albo zależało jej na starym. Jakkolwiek by było, prezentowała się nieźle i wszystko miała na swoim miejscu, na co stary był szczególnie uczulony. Wolał, żeby studentka była kompletną idiotką, niżby miała mieć płaski biust, tak mi przynajmniej tłumaczył. Studentki wiedziały o tym i każde najbardziej płaskie biedactwo wkraczało do starego na egzamin w sweterku opiętym na strzelistościach z gąbki. Nieźle mi się żyło tego lata, stary zostawił mi dość dużo gotowizny, tak że starczyło mi na wszystko. Nie miałem zresztą zbyt dużych wymagań, jadałem w barach samoobsługowych, piłem umiarkowanie. Dwa razy na tydzień przychodziła pani Sasowa, żeby posprzątać. Przedpołudnia spędzałem na pływalni, gdzie było paru fanatyków kąpeli, leżąc w ubraniu na leżaku, byłem dla nich intruzem, przypomnieniem, że dzień jest pochmurny. Dobrze się czytało mając na sobie ciepłą marynarkę i wełniane spodnie, gdy przenikliwy wiatr marszczył pustą wodę basenu. Obiad zjadałem w jakimś barze, a potem szedłem do kina sam albo z Lucyną. Po filmie wracaliśmy do domu, gdzie Lucyna siadała w kącie na podłodze przeglądając płyty. Pomimo tych pozorów i tak zawsze puszczała Bacha na zmianę z jazzem, potrafiła siedzieć w pozycji Buddy przez kilka godzin, nie drętwiały jej nogi. Wypijała przez ten czas kilka kieliszków i wypalała mnóstwo papierosów, odzywała się rzadko. Ci ze znajomych, którzy zostali w mieście, przyłazili koło piątej, niektórzy z dziewczynami. Słuchaliśmy płyt, graliśmy w pokera, trochę pili. Co pewien czas jakaś para zniknęła w sypialni starego, a gdy wychodzili, dziewczyna była świeżo uczesana. Gdy wreszcie wszyscy sobie poszli, Lucyna szła do łazienki, skąd wracała w jednej z dwóch pidżam przyniesionych przez nią na początku wakacji, ścieliła tapczan, włożyła pod kołdrę i czekała, aż posprzątam po gościach. W nocy też nie była gadatliwa, zasypialiśmy nad ranem, a gdy się budziłem, Lucyny już nie było. Jako studentka miała praktykę wakacyjną w jednej z dużych fabryk, polegało to na tym, że namawiała robotników do wypełniania ankiet, które dawno zużyli do celów higienicznych.

Któregoś ranka leżałem w wannie, gdy zadzwonił telefon. Stary, do którego dzwoniono o każdej porze, zainstalował drugi aparat w łazience, był to mały zielony telefon, wyglądający jak dziecinna zabawka, ale działał doskonale.

– Piotrek? – zapytał sopran, a gdy potwierdziłem, kazał mi przyjść jak najszybciej do „Głosu Stolicy”. – Jak najszybciej – powtórzył i to był koniec rozmowy.

Telefnował Humer, znajomy starego, człowiek, który zdążył przez dwadzieścia lat być wszystkim albo prawie wszystkim. Był pułkownikiem, dyrektorem filharmonii, przewodniczącym Związku Pływakiego, prezesem spółdzielni, ważną figurą w filmie, a obecnie redaktorem naczelnym „Głosu Stolicy”. Zdążyłem się już przyzwyczaić, że z jego grubego cielska wydobywał się głos kastrata, kiedyś, gdy byłem kilkunastoletnim chłopcem, śmieszyło mnie to do tego stopnia, że nie potrafiłem z Humerem normalnie rozmawiać, nie brał mi tego za złe, śmiał się razem ze mną, a potem pisał jeszcze cienie.

– Jesteś pracownikiem „Głosu” – powiedział zamiast przywitania, gdy zjawiłem się w redakcji.

– Ja? To niemożliwe.

– Nie ma dyskusji.

– Mam od września objąć...

– Masz etat i nie chcę nic więcej słyszeć. Jako pierwszą pracę napiszesz reportaż z hotelu robotniczego w Owocowie. Nie żadne dyrdymałki, tylko prawdziwy reportaż. Mięso... Kawał mięsa... Tadeusz już wrócił?

– Nie – odpowiedziałem. Tadeusz to mój stary.

– To dobrze. Chcę mieć za tydzień reportaż, a teraz idź do sekretarki i podpisuj wszystkie papiery. Jak to będzie do dupy, to zacznę mówić basem.

Na dowód, że nie zamierza się więcej mną zajmować, zaczął kartkować terminarz. Powiedziałem „cześć” i wyszedłem. Sekretarka rzeczywiście miała przygotowane wszystkie formularze, a nawet trzystuzłotową zaliczkę. Tak uprzejmie urzędniczki spotyka się rzadko, Humer musiał ją niełoho poinstruować. Podpisałem wszystko, co mi podsunęła, wziąłem pieniądze i pożegnałem się jako etatowy pracownik „Głosu”.

Nie byłem tego dnia na pływalni, czytałem w domu. Po południu przyszła Lucyna. Opowiedziałem jej o mojej nowej funkcji. Skwitowała to kiwnięciem głowy i puściła Bacha. Gdy płyta się skończyła, Lucyna łyknęła kieliszek, oparła się o ścianę i powiedziała:

– Dostałam list od Romana. Wraca pojutrze. Ślub weźmiemy w sierpniu.

– Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję – odparła i nałożyła na krążek płytę z Ellingtonem. – Cieszę się z tej twojej posady.

Teraz ja z kolei powiedziałem: dziękuję i poszedłem do kuchni, by zrobić Lucynie jajecznicę.

Wieczorem po pokerze powiedziałem chłopcom, że jadę do Owocowa na reportaż.

– Nic ci nie powiedzą ciekawego – zawyrokował Staszek. – Z takimi gośćmi nie tak łatwo. Zrobią cię w konia, nie lubią gadać z tak ubranymi facetami jak ty. Jesteś ubrany jak... no, rozumiesz, za gładko.

– No to co?

– To są przeważnie chłopcy ze wsi. Jak cię takiego zobaczą, w marynarce, w koszulce polo, włoskich butach, od razu zaczną mówić świętecznie, Władza równa się dla nich dostatek, dostatek równa się elegancja. Naturalnie, że możesz i tak napisać reportaż. Ale jeżeli chcesz zrobić coś ekstra, to powinienes przyjechać inaczej ubrany.

– No to wbiję się w stare ciuchy i nie powiem, że jestem dziennikarzem. Powiem, że będę pracować. Jutro jest sobota, zanocuję z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek. Pójdę z nimi na wódkę i pogadamy. Wtedy mi powiedzą wszystko, czego by nie powiedzieli dziennikarzowi.

W sobotę wieczorem zjawiłem się na dworcu-śródmieście w starych farmerkach, zielonej koszuli i spłowiałej marynarce. Na nogach miałem wysłużone półbuty, a głowę wieńczył mi klasyczny kaszkiet. Niosłem tekturową walizeczkę, przewiązaną paskiem, w której kołatały się szczotka i pasta do zębów. Deszcz siąpił lekko, postawiłem więc kołnierz marynarki. Ludzi na dworcu nie było, wielka fala wracających z pracy wsiąkła we wcześniejsze pociągi, stanąłem pod jarzeniówką, postawiłem walizkę na peronie i zapaliłem papierosa. Gdy rzuciłem zapalną, zatrzymał się przede mną milicjant.

– Dowód – powiedział ostro.

Podał mi dowód. Patrzył nań długo, a potem spytał: – Student?

– Student – potwierdziłem. – Przed miesiącem skończyłem studia.

– A co macie w tej walizce?

– Szczotka i pasta do zębów.

– Otwórzcie.

Otworzyłem. Patrzył na szczotkę i pastę, jakże mizerne w pustej walizce.

– Teeek – powiedział. – Możecie zamknąć – i oddał mi dowód.

Gdy odszedł, przejrzałem się w kieszonkowym lusterku. Mój stary miał rację: w każdym nakryciu głowy wyglądałem jak rzezimieszek, oprychówka jeszcze to potęgowała. Nadszedł mój pociąg, nacisnąłem mocniej samodziałową ozdobę na głowę i wszedłem do wagonu. W kącie siedziała dziewczyna opierając nogi na przeciwległej ławce. Najpierw zobaczyłem te nogi, długie, o pięknie sklepionej łydce, silnych, napiętych udach, okrytych lekką spódnicą, nie zdjęła stóp obutych w sandaalki z ławki, usiadłem więc obok nich i patrzyłem na dziewczynę. Była zgrabna i śliczna. Była tak śliczna, że miałem uczucie, jakby mnie ktoś uderzył w żołądek. Siedziałem naprzeciw niej, a właściwie po małej przekątnej, i patrzyłem. Gdy pierwszy bolesny zachwyt minął, poczułem się jak ktoś, kto po długich poszukiwaniach znalazł żywą i ciepłą kobietę ze snów. Nie myślałem wtedy, żeby się do niej odezwać, nie zastanawiałem się nad tym, że może na następnym przystanku wysiąść, nic, w ogóle o tym nie myślałem. Było we mnie spokojne szczęście. Pociąg zahamował i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że zajęty patrzeniem nie zauważyłem, że od kilkunastu minut jedziemy. I nadszedł mnie strach, że dziewczyna może już zaraz wysiąść, zniknąć, a ja zostanę tylko z jej obrazem w oczach. Ona jednak nie poruszyła się, siedziała wpatrzona w jakiś punkt na oparciu obok mnie. Nie zwracała na mnie uwagi. Jakby na moim miejscu nie było nikogo, jakby miała przed sobą puste oparcie, wybite zieloną dermą. I wtedy zrozumiałem, jak wyglądam: nieokrzesany wyrostek w oprychówce, z brudnymi rękami, trzymający na kolanach tekturową walizkę przewiazaną paskiem. A ona o świetlistej pomimo deszczowego zmierzchu cerze, wypielęgnowanych kasztanowych włosach, dobrze dobranym sweterku, spódniczce i sandałkach, ta giętka, pełna i śliczna dziewczyna, na którą wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że żyje w luksusie. Do wagonu wchodzili ludzie, zerwałem się i prawie pobiegłem do toalety. Przekręciłem zasuwkę, zdjąłem czapkę i rzuciłem ją na migający słupami peron. Pociąg nabierał rozpędu, zerwałem pasek z walizki, wyjąłem szczotkę i pastę, po czym odsunąłem jeszcze bardziej okno i wypchnąłem walizkę, stoczyła się podskakując po nasypie, pociąg dudnił na złączach szyn; poddając twarz pod chłodną strugę powietrza wsunąłem szczotkę i pastę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjąłem lusterko i przejrzałem się. Wyglądałem lepiej. I nagle przestraszyłem się, że dziewczyny już nie ma na ławce. Pomyślałem tak, mimo że wiedziałem, iż nie mogła wysiąść w biegu. Kilkoma ruchami wytarłem ręce w chusteczkę i wyszedłem. Dziewczyna siedziała. Nie trzymała już nóg na ławce. Naprzeciw niej usadowiło się dwóch mężczyzn w granatowych ubraniach w paski, a obok niej siedział ich kolega. W białych koszulach ozdobionych fabrycznie wiązanymi krawatami na gumce, w tych pancernych ubraniach z tenisu i solidnych, grubo zelowanych butach, wyczyszczonych do połysku, byli klasycznymi żułami z przedmieścia, jadącymi na sobotnią zabawę. Bił od nich mocny zapach wody kolońskiej i alkoholu, musieli się już przedtem zaprawić. Usiadłem po drugiej stronie przejścia, na jednej linii z tymi dwoma, by móc patrzeć na dziewczynę. Nie zwróciła na mnie uwagi, oglądała przez okno ciemniejący w zmierzchu las. Wyobraziłem sobie, że jeden z kiziorów odzywa się ordynarnie do dziewczyny, ja wstaję i uderzam go efektownym sierpowym, dwaj jego koledzy zwalają się na mnie, tłuką i uciekają. Dziewczyna pochyła się nade mną i delikatnym ruchem ociera mi twarz. To przeze mnie – mówi – niepotrzebnie pan to robił, ale dziękuję, dziękuję. Niestety, kiziorzy popatrywali na dziewczynę, ale milczeli, a ta siedziała zapatrzona w okno, tak piękna, tak piękna, że ucisk żołądka powrócił. Ściemniło się, na tle zmętniałej szyby jaśniał profil dziewczyny. Zapaliłem papierosa, rycerze tenisu spojrzeli na mnie i uczynili to samo. Paliliśmy i nikt się nie odzywał. W odrętwieniu, paląc jednego papierosa za drugim, przejechałem trzy przystanki, wtedy w wagonie zabłyśło światło. Znów ujrzałem zielone obicia, trzech młodych ludzi o włosach namaszczonych brylantyną i ją, obojętną, zapatrzoną

w mrok, w którym migotały dalekie światła domów. Wróciłem z daleka, z sadów, po których się z nią przechadzałem, z ulic, po których biegliśmy trzymając się za ręce, z jakiegoś małego przytulnego mieszkanka, gdzie słuchaliśmy płyt leżąc obok siebie i gdzie czułem się tak swobodnie, iż musiało to być nasze mieszkanie. Pokazywałem jej też, jak się lata w powietrzu, wystarczyło tylko rozłożyć ręce, przesunąć nimi do tyłu, a gęste powietrze niesło jak woda. Patrzyła na mnie stojąc z zadartą do góry głową, śmiała się, a ja zataczałem nad nią koła.

– Zaświecili – powiedział ten siedzący obok dziewczyny.

– No... Ale Józki chyba nie będzie – odpowiedział mu siedzący naprzeciw.

– Ona niezwykajna, żeby jej od maciów.

– Pewnie. A kto zwyczajny? Mógł nie mówić.

Pokiwali zgodnie głowami i umilkli. Nienawidziłem ich, tej świątecznej godności, sztywnych ubrań, lustrzanych, topornych butów, zaczerwienionych twarzy, niezdarnej mowy, dziewczyna musiała mnie brać za takiego samego jak oni. Wyobrażałem sobie, że wchodzi jakiś znajomy, siada naprzeciw mnie i powiada: – Czytałeś o tych odkryciach w grobach etruskich? – a ja mu na to odpowiadam zabawnymi zdaniem młodego erudyty, dziewczyna patrzy z zainteresowaniem, jestem kimś, kto się odbija od reszty. Zamiast znajomego wszedł konduktor. Podałem mu bilet. Widocznie druk był zamazany, bo spytał, dokąd jadę. – Do Owocowa – odparłem. Skinął głową i oddał mi kartonik. Dziewczyna sennym ruchem podniosła w górę bilet miesięczny i równie płynnie włożyła go do kieszeni spódnicy. Gdy konduktor przeszedł na drugi koniec wagonu, jeden z mężczyzn zapytał:

– Koleżanka daleko jedzie?

Dziewczyna popatrzyła na niego i mimo że nie zmieniła wyrazu twarzy, poczułem się głupio. Tak się patrzy na kamień albo drzewo. On to widocznie też tak odczuł, bo kiedy odwróciła wzrok i znów zaczęła wpatrywać się w migocącą światłami ciemność, spłoszono się po skronie i zaśmiał się, ale koledzy nie podtrzymali jego śmiechu. Tylko ja teraz wpatrywałem się w dziewczynę. I mimo że od dawna się już nie modliłem, że Bóg odszedł ode mnie wraz z mutacją, odmawiałem w myślach coś w rodzaju hymnu.

– Boże – prosiłem – niech ona jeszcze nie wysiada. Wszystko możesz, przesuwaj ziemię i muszki, spraw, żeby jeszcze siedziała, to nic wielkiego, jeżeli już musi wysiąść, niech o tym zapomni, wielki, potężny Boże, uczyni to, niech siedzi i niech jeszcze trochę będzie szczęśliwy.

Wtedy właśnie mężczyźni siedzący naprzeciw dziewczyny wsunęli nogi pod ławkę, zrobili miejsce do przejścia, z czujnością zdenerwowanych domyślili się, że dziewczyna będzie wychodzić, mimo iż tylko sięgnęła po torebkę. I rzeczywiście. Po chwili podniosła się, przeszła pomiędzy ich podciągniętymi nogami i stanęła przy drzwiach. Stałem za nią. Wiedziałem, że jej nie zaczepię, że nie będę próbował się przedstawić, a jednak stanąłem za nią. Wystarczyło mi, że będę ją jeszcze jakiś czas widział, odprowadzając ją z daleka. Nie byłem nieśmiały, miałem nawet pewną rutynę w rwaniu dziewczyn, ale teraz byłem pewny, iż do niej nie zagadnę, jej widok był dla mnie zbyt wielkim wstrząsem. Pociąg zaczął hamować, dziewczyna przesunęła dłonią po włosach, silna dłoń o długich palcach, z których każdy był przez moment myszkującym spojrzeniem, gdyby dłużej przetrzymała rękę we włosach, ucałowałbym jej ruchliwe palce. Wiedziałem, że mógłbym za to otrzymać tak samo obelżycie w swej obojętności spojrzenie, jak przed chwilą facet w granatowym garniturze, ale pragnienie było silniejsze od rozsądku. Pociąg zatrzymał się i drzwi rozsunęły się z sykiem. Konduktor krzyknął: Dąbrówka. Dziewczyna wysiadła po przeciwnej stronie stacji, był tam wąski pas żużlu, na którym stała, a dalej trawa i las. Wskoczyłem z wagonu. Dziewczyna obróciła się do mnie, jej oczy lśniły w pasie światła, padającego przez drzwi.

– Musimy się śpieszyć – powiedziała. – Za chwilę będzie deszcz. Weź mnie za rękę, w lesie jest nierówno.

Nigdy w życiu nie zemdlałem, ale myślę, że wtedy byłem tego bliski. Głos był godny jej ciała i twarzy. Gdy się wreszcie opanowałem, podszedłem do niej i wziąłem ją za rękę, tak jak się biorą dzieci. Poszliśmy w stronę lasu. Była we mnie taka radość, że chciałem krzyczeć. A potem nagle zachciało mi się śmiać, pomachałem ręką i to mi pomogło.

– Gdzie masz walizkę i czapkę?

– Wyrzuciłem – głos mi się łamał.

Natomiast jej głos był czysty. Było w nim dzwonienie.

– I nie pojechałeś do Owocowa – stwierdziła.

Weszliśmy na drogę wiodącą wśród lasu. Było tu zupełnie ciemno, potknąłem się na nierówności.

– Przepraszam – powiedziałem bez większego sensu.

– Podnoś wysoko nogi, korzenie wystają z ziemi.

Pokiwałem potakująco głową, ale gdy uświadomiłem sobie, że w ciemności nie może tego zobaczyć, powiedziałem: dobrze.

– Czujesz? Pachnie deszczem.

Szliśmy wśród zapachu sosen i wilgotnej podściółki, ręka dziewczyny była ciepła, wydawało mi się, że gdy dotykałem jej palcami, cichutko szeleści.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Tak jak będziesz chciał. Nazwij mnie.

– Armelle.

– Armelle? – powtórzyła przeciągle, jakby smakując to słowo, i dodała szybko: – Może być Armelle.

– Nie podoba ci się?

– Nie wiem, jeszcze nie wiem. Znasz francuski?

– Słabo.

– Armelle? Teraz jestem Armelle.

Nie wiem, dlaczego tak ją nazwałem. Musiałem to imię znaleźć w jakiejś książce i czekało ono, by wśród zapachu sosen pod zaciągniętym bezgwiezdnym niebem oblec tę dziewczynę jak wilgotna tkanina, przylec do niej tak dokładnie, żeby się na zawsze kojarzyć z jej postacią, głosem, twarzą.

– Wiesz, dlaczego wyrzuciłem czapkę i walizkę?

– Bo tak chciałeś.

– Masz rację. Bo tak chciałem.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Powiedz, dwadzieścia jeden, Armelle, chcę się przyzwyczaić.

– Dwadzieścia jeden, Armelle.

– Dziękuję... A ja dwadzieścia cztery. Zawsze robisz takie miny, jak ci się dziewczyna podoba?

– Miny?

Roześmiała się. Jej śmiech, jak przedtem nasze głosy, wydawał się słaby wśród wilgotnej ciszy lasu.

– Mówię o pociągu... Wyglądałeś zabawnie w tej czapce. Zdziwiony chuligan.

– Myślałem, że mam pokerową twarz.

– A ja kiedyś wierzyłam, że wystarczy... Teraz ja się potknęłam. Wezmę cię pod rękę.

Poczułem jej ramię pod swoim. Zacząłem iść sztywno, każdy krok wydawał mi się niezdarnym.

– Zaczęłaś mówić, nim się potknęłaś.

– Zapomniałam. Teraz myślę tylko o tym, że przestaje mnie boleć palec, w który się uderzyłam. Ale zaraz będę gotowa do rozmowy.

Szliśmy po miękkiej nawilgłej drodze. Powoli zaczynałem oswajać się z cudem. Dotykałem ramienia Armelle obleczonego w delikatną materię sweterka, pomiędzy włoskami zachowały się drobiny ciepła, wśród chłodnej ciemności było to jak dotknięcie sierści zwierzątka. Czułem jej biodro ocierające się o moje, raz, dwa, raz, dwa, ten rytm uspokoił mnie, był zwyczajny, przestałem iść sztywno.

– Widzisz jak kot – powiedziałem. – Ja jestem zupełnie ślepy.

– Przyzwyczajenie... Będę szła trochę szybciej, dobrze? Nie chcę, żebyśmy zmokli. Szliśmy bezgłośnie po uginającej się ścieżce.

– Jak byłem mała, bałam się lasu, aż kiedyś się zgubiłam.

– I strach minął, tak?

– Nie, boję się jeszcze bardziej.

Roześmieliśmy się, przez chwilę Armelle była do mnie przytulona, jakby szukała u mnie obrony. Potem znów było ocieranie biodrami, raz, dwa, raz, dwa.

– Deszcz będzie na pewno – powiedziała. – Jak jechaliśmy pociągiem, pomyślałam, że gdy konduktor sprawdzi mój bilet, to się nie rozpada. Ale on tylko spojrzał.

– To jest dowód.

– Nie śmiej się. Na pewno będzie deszcz, zobaczysz.

I jakby na znak, że Armelle zawarła przymierze z chmurami, duża kropla spadła mi na policzek. Chwilę później jeszcze jedna i jeszcze. Powiał wiatr, las zaszumiał.

– Do arki – krzyknęła i pociągnęła mnie za sobą. Zaczęliśmy biec.

Biegliśmy wśród coraz gęstszych kropel, aż wreszcie przemieniły się one w ciepłe strugi. Po twarzy spływała mi woda, nie widziałem nawet biegnącej obok mnie Armelle.

– Uważaj, tutaj trzeba przejść przez płot – powiedziała zatrzymując się. – Nie warto wchodzić od frontu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI